

WIADOMOŚCI

WROCLAW, ul. PODWALE 62

WALBRZYCH

wydanie CIHALTU, COŚ ZA LUDZIE

Nr 4 z dn. 27-01-1972

218



GWALTU, CO ZA LUDZIE!

KIEDYS napisałem krytyczną recenzję o spektaklu, który był zły, bo jak wiadomo, bywają złe spektakle. Później, po paru tygodniach spotkałem człowieka, który okazał się reżyserem owego przedstawienia. A, to pan — powiedział do mnie, i powiedział to tak, że nie wiedziałem, czy uważał coś osobliwego w mojej postaci, bo patrzył w taki sposób, jakbym był winien, że na dworze silny mróz, a on stoi przede mną bez butów, czy też dostrzegł samą pospolitą i zawiódł się. Chciałem już pana dawno poznać — mówił jednak dalej i przyglądał się mojej twarzy, która w tym czasie nie miała najszcześliwego wyrazu. Napisał to pan niedydaktycznie —

kontynuował — i niczego się nie mogę od pana nauczyć. Może razem odczytamy — dodał. Odpowiedziałem, że pewnie się niczego ode mnie nie nauczy, bo nie po to piszę, by uczyć reżyserów. I pomyślałem, ale nie ujawniłem tego, że nauki, jak robić dobry teatr, reżyser winien wynieść z innej szkoły, niż moje rzadkie zresztą, felietony teatralne, i nauki te raczej bardziej by się przydały przed premierą, niż po niej. No, ale cóż. Podałem reżyserowi numer swojego telefonu, choć nie wiem czy mu się na coś przyda, bo nawet kilkugodzinna rozmowa nie zmieni już kształtu sztuki. Jednak to krótkie spotkanie mnie nauczyło czegoś, i za to muszę reżysera pochwalić, była to jego dobra robotą, znacznie lepsza niż nad komedią, którą wystawił. Otóż nauczył mnie ów pan, zresztą sympatyczny człowiek i zdolny fachowiec, tylko wtedy mu nie wyszło, że nie należy zbyt ufać realizatorom, którzy nie są sami przekonani do tego, co robią. Bo jeśli są pewni, że rzecz przygotowali, jak należy, nic nie zmienią ich przekonań, nawet rozmowy ze mną. Ale gdy nie są pewni, szukają usprawiedliwień. A przecież na nic się one nie zdadzą, bo są po czasie i w ogóle chyba niepotrzebne. Co innego z wątpliwościami. O, te towarzyszą twórcom czę-

sto, i przede wszystkim w trakcie realizacji dzieła sztuki. Ale gdy już zrealizowane, klamka zapadła, na nic tłumaczenia, że mogło być inaczej, a jest tak, choć wątpliwości wciąż pozostają. O, jaki to ja bezkompromisowy, widzicie. A przecie i ja wiem, że jak coś się nie uda, to jest smutno. Ale dość. Spisuję te uwagi, by przekonać kogo należy, że jestem tylko sprawozdawcą z sali teatralnej i notuję, co widzę i co słyszę, czyli robię to, co informuje czytelników o fakcie estetycznym, który wydarzył się w teatrze. Staram się przy tym, w miarę możliwości, pisać tak, żeby nikt nie miał kłopotów z odczytaniem, chyba by bardzo chciał je mieć. Ale na to już rady nie mam.

W sobotę, 8 stycznia, oglądałem walbrzyską premierę Aleksandra Fredry „Gwałtu, co się dzieje!”. Zanim o sztuce, słów parę o widowni. Ile razy tam jestem, mile zaskakuje mnie fakt, że na ogół sala jest pełna ludzi, i co, cieszę, w większości ludzi młodych. To cenne. Nie wiem, jak tam jest z przedstawieniami popremierowymi, może ktoś z Walbrzycha do nas napisze, ale za to, co widziałem, i publiczność i teatr zasługują na najwyższe uznanie.

No, a Fredro? Oj, staruszek z niego, ale nie bez wigoru. Jary i z dowcipem. do dziś jeszcze nie gas-

namym. Nie pierwszej wprowadzie to wody dowcip i żart, ale i nie ostatniej. I choć sama sztuka wystawiana do przednich tego autora nie należy, i rzadko bywa grana z sukcesami, to przecie nie pozbawiona jest tu i ówdzie lotniejszej myśli żartobliwej, ciętego języka, czy gorzkiego spojrzenia na obyczaje i mody czasu, którego rysy zacierają się nam w pamięci, więc krotoczwila, co rusz, to przypomina. Wiadomo, że do oryginalności jej daleko, bo zaraz podpowiadają się „Uczone białogłowy” Molierowe i inne komedye, a jednak bawi, widownia z uciechy zaśmiewa się i teraz, a nieraz i klaszcze i to bez kurtuazji, tak — jak to się mówi — spontanicznie, niezebrantowo. Czyż to już nie kawał sukcesu? Szczególnie, gdy panie z widowni zabawiają się herodami w spódnicach, co ja mówię, w spodniach, które chodzą po scenie niczym władczyńskie światła surowe i nieprzystępne, choć to ostatnie nie zawsze im się udaje. Sceniczni mężowie owych pań w tym czasie drżą ze strachu przed babskim panowaniem. Bo cała oś konstrukcyjna do tego motywu sprowadza się. Baby, babska, chciałoby się rzec, zdobyły władzę i nad mężczyznami, i tę instytucjonalną i rządzą się, a szarogęsą i rozrabiają ile się da, i jak się da, a Tobiasze,

Kaspry i Błażeje spod pantofla ledwie uszy wystawiają. I to odwrócenie ról wiele zabawy przysparza, często, może nawet za często zabawy nie przewidzianej w scenariuszu. I to dobrze, i źle. Bo do śmiechu rządu prowokują sytuacje, które dla innej formacji obyczajowej może i były śmieszne, a raczej językowe niespodzianki brzmiące nad podziw dziwnie i chichotliwie. W sumie jednak zabawa jest. Wprawdzie zapomina się o niej już następnego dnia, ale przecie wystarczy ona na jeden wieczór.

Aktorzy nie pokazali brawury, ani niespodzianek, nie błysnęli niczym szczególnym, byli poprawni, w miarę zabawni, w miarę nudni. Sympatyczne wrażenie pozostawiła Teresa Musiałek, grająca Barbarę-pisarza, nie za gwałtowna w „demoniczności”, awdiczna, i kobieca wbrew strojowi; dzielnie broniła się Marina Szmak-Konarska, zaświadła Teresa Wicińska, a pozostali — zagrali w granicach nienaganych. Reżyser (Tadeusz Pliszkiwicz) mógł sobie darować przegadanie sceniczne, miejsca puste, jak choćby powtarzanie, w końcu nudnego epizodu, przy początku każdej odsłony, czy zbyt natarczywych i topornych elementów ruchowych szerokopiennych amazonek.

STANISŁAW SROKOWSKI